

Kolędowanie w Teatrze Węgajty

Moje wędrowanie z Węgajtami po wsi Nowica w Beskidzie Niskim miało miejsce w końcu pierwszej dekady stycznia 2004 roku. Jest to teren dawniej (w nielicznych przypadkach także obecnie) zamieszkiwany przez Łemków i dominującym wyznaniem jest prawosławie, w którym Boże Narodzenie obchodzi się później – stąd taki właśnie termin kolędowania. Nowica jest wsią w jakiś sposób magiczną czy legendarną – od lat przyciąga ludzi z całej Polski, którzy osiedlają się tu na dłużej lub krócej, a bywa i na stałe. Chyba rdzenni mieszkańcy przyzwyczaili się do tych „dziwaków” i różnych działań artystycznych przez nich podejmowanych. Również Teatr Węgajty nie jest im obcy, gdyż ta wyprawa była czwartą z kolei, poczynając od 1989 roku. Łańcuchowy układ wsi powoduje, że prawie wszystkie domy usytuowane są przy drodze. Architektura jest zróżnicowana – nie brak starych, drewnianych, lemkowski chałup, chylących się ku ziemi z upływem lat, ale pojawia się coraz więcej domów nowych, wysokich, niepasujących do krajobrazu.

Jak już wspominałam, nie była to pierwsza wizyta Teatru Węgajty w tych stronach, toteż w wielu domach byliśmy niecierpliwie wyczekiwani. Wieść o naszym przybyciu, jak to zwykle bywa na wsiach, szybko się rozeszła. Zresztą nawet, jeśli ktoś nie wiedział, to mógł nas usłyszeć z daleka, gdy z muzyką i śpiewem chodziliśmy od chałupy do chałupy, krzycząc czasem: „iiiidzie sieee”. Nie było sposobu, by do któregoś domu nie wstąpić, by byłoby to obrazą dla jego mieszkańców. Z niektórymi państwem Sobaszkowie witali się serdecznie – widać było, że łączą ich z tymi ludźmi jakieś bliższe więzi: pojawiły się pytania o konkretne fakty z życia obu stron. Trudno nie zapytać – skąd ta żałość? Wypływała ona z gościnności i otwartości mieszkańców Nowicy, ale ważne jest i to, że przeważnie odwiedziny nie kończyły się na samym przedstawieniu scenek kolędniczych. Odbywało się potem wspólne śpiewanie kolęd (jak w jednym z domów, w którym starsza pani zaśpiewała lemkowski kolędy, przez nią tylko pamiętne), nierzadko przy zastawionym stole, nawet z towarzyszeniem alkoholu. Atmosfera bywała prawdziwie rodzinna, mimo że grupa kolędnicza liczyła kilkanaście osób i niekiedy było trudno zmieścić się w jednej izbie. Jeśli tylko warunki na to pozwalały, po przedstawieniu zaczynały się tańce – zrazu nieśmiałe, potem już bardziej ocho-

cze. Wszystko oczywiście przy dźwiękach muzyki na żywo, z użyciem akordeonu, klarnetu, bębna i skrzypiec. Trudno byłoby stwierdzić, że wykonywano jakiś określony typ tańca. Gdzie indziej tkwiła istota sprawy – ważne było, by poruszać się przy muzyce i aby jak najwięcej osób wzięło udział w zabawie. Często takie odwiedziny wydłużały się do kilku godzin, a przecież należało pamiętać o innych oczekujących! Naturalnie, takie przyjęcie nie jest regułą. Zdarzyło się, że niczym nas nie poczęstowało lub przyjęto niechętnie i sami staraliśmy się skrócić wizytę. Jednak tego typu sytuacje siłą rzeczy nie pozostaną w moich wspomnieniach.

Wszyscy mieszkańcy byli uroczyście zaproszeni na zabawę w szkole podstawowej (jedynej zresztą we wsi, a składającej się z trzech sal). Tu moje przyzwyczajenia, jakie przywozłam ze sobą, szybko musiały ulec weryfikacji. Otóż spodziewałam się, że przyjdzie niewiele osób, a jeszcze mniej będzie miało ochoty tańczyć i zabawa będzie musiała się skończyć, zanim na dobre się zacznie. Jakież było moje zdziwienie, gdy pierwsi goście pojawili się już ponad pół godziny przed wyznaczonym czasem, a do tańca ruszano niemal z pierwszymi dźwiękami instrumentów – wciąż tych samych, doszła tylko perkusja własnoręcznie zrobiona przez „napływowego” mieszkańca wioski. (Wcześniej Wacław Sobaszek pokazał uczestnikom Kolędy kilka tańców, między innymi takich, które miały być pomocne przy zachęceniu gości do zabawy – okazało się, że żaden z nich nie był potrzebny.) Przyszli niemalże wszyscy – od niemowlęcia po pana Michałaka, który chociaż najstarszy (ponad 80 lat), nie przepuścił chyba żadnej pani i żadnej melodii, a warto dodać, że przez całą zabawę nie zdjął futrzanej czapy i gumowców. Nie ma w tych ludziach typowej dla nas (ludzi z miasta) bojaźni, że można zostać wyśmianym, czy skrytykowanym. Nie ma krępującego wstydu, jest spontaniczność, otwartość. I chęć zabawy, gdy jest ku temu okazja, bo przecież dla nich jest swego rodzaju świętem: nie zdarza się codziennie, no i nieczęsto można zobaczyć we wsi tak liczną grupę gości. Uśmiech i radość z uczestnictwa w zabawie była pewnie objawem wdzięczności, jak gdyby podziękowaniem za trud włożony w przygotowanie dla nich kolędy. Z kolei my – czy może bardziej członkowie Teatru Węgajty – mogliśmy być wdzięczni za pomoc przy realiza-



Wyprawa Wielkenocna – Dziadówkę
fot. M. Papiński

cji zamierzonych planów, bo przecież bez tych ludzi, bez oddźwięku z ich strony, całe przedsięwzięcie nie miałooby sensu.

Zapewne z czasem wszystko się zmieni, gdyż za sprawą starań sołtysa Nowicy położono asfalt sfinansowany ze środków Unii Europejskiej, dzięki czemu droga będzie bardziej uczęszczana. Kto wie, ile wieś straci ze swego dotychczasowego spokoju: na obu końcach stoja już ogromne tablice informujące kto przekazał fundusze na modernizację, brak natomiast tablic z nazwą miejscowości. Pomyślałam sobie – „kiedyś w Nowicy kończył się świat, a teraz zaczyna się Europa”.

Teatr Wiejski Węgajty zachował strukturę obrzędu kołędniczego, dbając przede wszystkim o jego zewnętrzną oprawę. Przez „zewnętrzność” rozumiem chociażby stroje, pieśni czy scenariusz kołędowania. (Choć przyznać muszę, że pomimo swego rodzaju fuzji tekstów zaczerpniętych z tradycji różnych regionów, próbuje się uwzględnić charakter obszaru kołędowania – na przykład w Nowicy śpiewa się koledy po ukraińsku.) Można by poprzestać na przedstawionym opisie – jestem jednak przekonana, że nie mniej ważna od pokazania swoistej niecodziennosci (egzotyki?) przedsięwzięcia, jest próba sformułowania wniosków, postawienia pytań.

Niepodważalna różnica między tradycyjnym wykonywaniem obrzędu a jego rekonstrukcją przez Teatr, tkwi w problemie uczestnictwa. Otóż w każdej wsi członkowie Teatru Wiejskiego będą zawsze tylko gośćmi; dodajmy – są nimi nawet w samych Węgajtach, dokąd przecież przybyli z różnych stron Polski, czy nawet Europy. Nie sposób nie przywołać tutaj pojęcia „obcego” w kulturze tradycyjnej, które oprócz elementu ciekawości, niesie w sobie, niestety, ładunek negatywności w zestawieniu ze „swoim”, ze „swojskim”, „tutejszym”, „naszym”¹. Zawsze to będzie tylko krótka wizyta odbywana w świątecznym czasie *sacrum*², tak bardzo różniącym się od czasu zwykłego, codziennego, bez którego pełne uczestnictwo w danej kulturze jest niemożliwe. Odwiedzając poszczególne domy, nie wiemy przecież, jak wyglądają one na co dzień, kto w nich mieszka, co robi, jakie są relacje jego właściciela z innymi mieszkańcami wioski. Inaczej sytuacja się przedstawia, gdy kołednikami są chłopcy z tej samej czy sąsiedniej ale zaprzyjaźnionej wsi. Znają oni wszystkich mieszkańców i relacje między nimi. Wiedzą, jakie są ich potrzeby, co może być szczególnie podkreślone przy składaniu życzeń.

Być może życzenia, składane przez „obcych” mają zupełnie inny wydźwięk, a kto wie, czy nie mniejszą moc (w wierzeniach ludu wiejskiego, oczywiście). Włączenie się do zabawy organizowanej przez osoby „z zewnątrz”, kwestionuje pojęcie uczestnictwa w życiu wsi. Nie dochodzą również tutaj (a na pewno nie w tak dużym stopniu) do głosu antagonizmy, czy wzajemne sympatie zachodzące między kołednikami a odwie-



Wyprawa Wielkanocna – Dziadówek

fot. M. Papierski

dzanymi mieszkańcami. Brak nam, kołednikom wiedzy dotyczącej samego życia w wiosce, minionych wydarzeń, przyzwyczajęń, specyficznych tradycji. Skoro tak, trudno w koledzie odnieść się do obecnej sytuacji, toteż jest ona pozbawiona tego nawiązania, które niewątpliwie miało miejsce w tradycyjnym obrzędzie. Nie można na przykład wytknąć gospodarzowi jego wad, bo ich się po prostu nie zna.

Inaczej zapewne w oczach mieszkańców wygląda owa z e w n ę t r z n a oprawa, o której wspominałam, skoro stroje mogą być wykonane z innych niż przyjęte materiałów, zaś niektóre postaci mogą być nieznane, a przez to w pewien sposób „egzotyczne”. Być może budzą ciekawość, ale kto wie, czy czasami nie niechęć, co jest nie do uniknięcia przy swoistym eklektyzmie „Koledy”. To samo odnosi się do tekstów koled, gdyż obok tych powszechnie znanych, pojawiają się zapomniane czy w ogóle nieznane. Budzić to może pewien dysonans w odbiorze przedstawienia. Trudno stwierdzić, co przeważa bardziej przy wpuszczaniu takiego kołędniczego orszaku do domu: ciekawość strojów i postaci, czy osób nieznanych, które się za nimi kryją? A może jedno i drugie i wtedy zapomina się o samej funkcji obrzędu? Nie brakuje w tym wszystkim przecież elementu sensacji, związanej z pojawieniem się grupy „obcych” we wsi. Nie zapominajmy również, że w dobie telewizji i motoryzacji (asfalt!) jest to wydarzenie o wiele mniejszej wagi, niż gdyby miało miejsce sto lat temu.

Czyms natomiast, co na pewno zostało zachowane jest niewątpliwie radość, jaka płynie z takich odwiedzin oraz uświęcenie i tak już świętego czasu.

Agata Ptasznik

¹ Odsyłam do książki poruszającej ten temat: Z. Benedyktowicz, *Portrety „Obcego”*, Wydawnictwo UJ, Kraków 2000

² M. Eliade, *Sacrum i profanum*, Warszawa 1996

Wyprawy – wielkanocne i bożonarodzeniowe Teatru Węgajty były opisywane dziesiątki razy (również w SCENIE – patrz: Agata Rychlik „Wędrowanie z Węgajtami” nr 4 wznowiony 1998 r). Jednych autorów pociągała chęć poznania, innych egzotyka kontaktu z prawdziwą wsią. Publikujemy szkic Agaty Ptasznik, bo jego walorem jest próba rozważenia problemu podstawowego dla idei barteru („dobra, które wymieniamy, to dobra kultury” – Eugenio Barba) – problemu „przybysza”, a więc w jakimś stopniu „obcego”. Czy rzeczywiście dochodzi do zbliżenia? Czy naprawdę „uczestnicy rozchodzą się bogatsi, niż przybyli” (raz jeszcze E. Barba)? I czy wszyscy uczestnicy, a więc również „tubylcy”?

Dodajmy, że nie przypadkiem w tym numerze SCENY są również materiały o dzisiejszym wiejskim teatrze oraz o Odin Teatret.